

PARYSKI KLASZTOR PRZED BIC

Wystarczyło tyle czasu, ile trwała jazda ciężarówki do celu, i Eugenio poprosił mnie, żebym wysiadł.

Potwierdził, że trzy dni później dokładnie w tym samym miejscu znowu się spotkamy i razem wrócimy do domu.

Wyjąłem telefon i odszukałem miejsce, w którym miałem spędzić noc. Odległość wynosiła 3,6 kilometra.

Ruszyłem więc pieszo, rozmyślając o faktach, wydarzeniach i dziwnym ciągu okoliczności, który mnie tam przywiódł, i nie potrafiłem ukryć co jakiś czas uśmiechu, zanim dotarłem do swojego wspólnego noclegu.

Kiedy w końcu dotarłem, budynek wyglądał nietypowo. Był czymś pomiędzy kościołem, młynem a magazynem rolniczym.

Ale byłem we Francji. Rzeczy, które Włochom wydają się dziwaczne, uchodzą tam często za całkowicie naturalne. A przynajmniej tak mi się wydawało.

Nacisnąłem domofon. Zamiast brzęczyka usłyszałem dźwięk dzwonka, takiego samego, jakiego używa się w kościołach podczas komunii.

Pojawił się niski mężczyzna. Łysy. Z ciemną brodą. W habicie mnicha.

Wyjaśniłem, że mam rezerwację i że już zapłaciłem przez internet. Wziął mój dokument tożsamości, sprawdził dane, wręczył mi klucz do szafki numer trzy, dał karteczkę z hasłem do Wi-Fi, a potem zaprowadził mnie do wspólnej sali.

Po drodze zapytał, co mnie sprowadza do Paryża. Odpowiedziałem: „Kobiety”.

W chwili gdy to powiedziałem, od razu poczułem, że coś mi umyka. Tylko co?

Szedł dalej przede mną. Po kilku chwilach otworzył wielkie drzwi i zaprosił mnie do środka.

Wszedłem do czegoś, co wyglądało jak magazyn z sześćdziesięcioma piętrowymi łóżkami i zaledwie dwiema łazienkami. Kobiety po prawej. Mężczyźni po lewej.

Nawet podczas włoskiej służby wojskowej w 1984 roku nie przeżyłem niczego choćby trochę podobnego. Największa koszarowa sala, jaką kiedykolwiek widziałem, mieściła dwadzieścia osób.

Tutaj jednak mój kolega sprzed dwóch tysięcy lat zdawał się zdecydowany przesłać mi kolejną wiadomość: „Frega, jeszcze nic nie widziałeś".

Znalazłem się na targowisku ludzi ze wszystkich narodów i wszystkich tradycji. To nie była wspólna sala. To nie było schronisko. To było coś zupełnie innego.

We Włoszech takie miejsce wywołałoby publiczne oburzenie, ściągnęło śledztwa prokuratury i nie schodziłoby z czołówek wiadomości. Tutaj? Całkiem normalne. Witamy we Francji.

A jednak instytucja miała charakter katolicki i chciałem zrozumieć, jak coś takiego może istnieć.

W końcu odkryłem, że należy do zgromadzenia zakonnego prowadzonego przez katolicki zakon, którego kardynał został kiedyś ekskomunikowany przez Watykan, bo odmówił dostosowania się do przyjętego wzorca.

Stworzył więc własny system.

Kiedy podłączyłem telefon do sieci Wi-Fi, przyszła wiadomość od Chanel. Pytała, czy dotarłem szczęśliwie, w jakim hotelu się zatrzymałem, i dodała, że jeśli podam jej adres, sama przyjedzie po mnie następnego ranka na nasze spotkanie.

Odpisałem, że dotarłem dopiero przed chwilą. Podróż minęła znakomicie. A co do hotelu, to uprzejmie zapewnił samochód z kierowcą, więc następnego ranka będę już miał transport. Mimo to podziękowałem jej za propozycję.

Tego wieczoru we wspólnej sali wydarzyło się coś nieoczekiwanego. Grupa osób pochodzenia indyjskiego i druga grupa z Brazylii słuchały w tym samym czasie tej samej muzyki.

Im dłużej słuchałem, tym bardziej wydawała mi się znajoma. Wtedy zrozumiałem dlaczego. Byli na gillettenarrative.com.

To właśnie chciał mi pokazać mój kolega sprzed dwóch tysięcy lat. I sprawiło mi to radość.

Następnego ranka, po przejściu moich trzech kilometrów, wsiadłem do metra w stronę Pól Elizejskich i dotarłem na miejsce sporo przed czasem.

Zatrzymałem się przed wejściem. Przez chwilę zastanawiałem się, czy postępuję słusznie.

Odpowiedź brzmiała: tak. Bo od nikogo nie prosiłem o pieniądze. I mogłem swobodnie słuchać świata.

Ferdinando